

Maria Świerczewska-Wanke

Janusz Eichler (1923-2002) jakiego pamiętamy

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 293-295

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANUSZ EICHLER (1923–2002), JAKIEGO PAMIĘTAMY

Kiedy nagle przychodzi wiadomość, że ktoś bliski zmarł, uświadamiamy sobie jak krucha jest granica pomiędzy życiem a śmiercią. Myślimy wtedy o zagadce nieśmiertelności, o nieskończoności istnienia i o świętych obcowaniu. Janusza już nigdy nie zobaczymy. Odszedł od nas w dziedzinie pamięci. Dziś widzimy jego życie całościowo poprzez żal i ból. To jakiś moment rekapitulacji, uświadomienie sobie, że to, co się stało, stało się nieodwołalnie. Teraz naprawdę na wszystko jest już za późno. Nie będzie już żadnego nowego szczegółu, żadnego spojrzenia i gestu. Na pożegnanie też za późno, bo każda śmierć jest nieodwracalna. Bóg przerwał życie Eichlera i może zapytał: „Kim byłeś?”.

Kim on był? My też pytamy o to z bólem nas samych, wiedząc, że go już nigdy nie spotkamy, nie zaprosimy na niedzielny obiad i że mamy tylko to, co nam pozostało we wspomnieniach. Eichler był arystokratą z krwi i kości. Kiedy się zjawiał w towarzystwie, zwracał uwagę nie tyle strojem, co swoją osobowością, dystynkcją, delikatnością manier, a także niewymuszoną swobodą. Umiał mówić z zainteresowaniem, zawsze z dozą humoru, która dodawała mu młodzieńczości. Zyskiwał sobie sympatię erudycją i pewnością sądów opartą na ogólnej kulturze. Owszem, uprawiał malarstwo jako specjalność swej artystycznej natury, ale wydawało się, że mógł być wybitny w każdej innej dziedzinie, gdyby zechciał. Wszyscy cenili sobie towarzystwo Janusza, wyczuwając, że to ktoś zupełnie wyjątkowy.

Na emigracji miał ciężkie życie. Już sam fakt, że mieszkał na Boca, w mamej dzielnicy, skazywał go na równie marne warunki. Mieszkał z matką — chorą, kruchą, siwą staruszką, którą otaczał nieopisaną czułością. Zajmował się nią z bohaterską cierpliwością. Do końca. Matka, którą zawsze uwielbiał, była często obecna w jego twórczości. Pamiętam ją zgarbioną na tle wnętrza o spartańskiej prostocie — w tej nieszczęsnej dzielnicy Boca, gdzie do tej pory stoją jeszcze domki z falowanej blachy, zimnej w zimie, a gorącej w lecie; tam, gdzie gromadzili się artyści i cwaniacy; tam, gdzie w spelunkach królowało tango. Kiedy Janusz nareszcie się stamtąd wyprowadzał, okazało się, że go okradli. Nigdy nie odzyskał swoich obrazów, których złodziej na pewno nie umiał ocenić ani docenić, choć być może przecenił, jeśli chodzi o doraźny zysk.

Janusz Eichler, co tu ukrywać, był oryginałem jak przystało na artystę i w pewnym okresie, kiedy miał swoją wspaniałą wystawę w historycznym lokalu w dzielnicy San Telmo¹, wyniósł się na jedną z tysięcy wysp Tigre. Zaginął tam na dłuższy czas i był nieosiągalny. Wystawa natomiast zbierała w miejscowej prasie znakomite recenzje i stała się wkrótce wielkim wydarzeniem sezonu. Krytycy uważali Eichlera za wyjątkowego artystę o wybitnych walorach i rozpoznawalnym stylu. „Lektura” jego obrazów była zawsze pełna głębokiej treści.

Janusz wystawiał też w galerii u Wildensteina. Jedna z tutejszych marek przypominała mi tam dwie jego świetne prace — *Tango* i *Pociąg*. Uwieczniony na obrazie pociąg istotnie przejeżdżał tuż przed oknami Eichlera, to jakby ilustracja do *Czekania na Godota*, egzystencjalnej sztuki Samuela Becketta.

W tamtym okresie Eichler miał wystawy w wielu sławnych galeriach. Pamiętam ekspozycję w Galatei na Via Monte². Takie wernisaże były dla Janusza wielkim świętem. Schodziło się dużo ludzi. Co chwilę ktoś otwierał drzwi. Przychodzono pojedynczo albo małymi grupkami. Goście z ciekawością kierowali się zaraz do obrazów rozwieszonych dookoła na ścianach. Na niektórych twarzach widniało skupienie. Czasem ktoś przystawał na dłuższy czas jakby wyłączony z szumu rozmów i śmiechów. Zapewne to, co przedstawiał obraz było źródłem wewnętrznych przeżyć, wносиło coś do duszy oglądającego. Może ośnienie, może spokój, może niezwykle wzruszenie. Tymczasem, jak zwykle w podobnych sytuacjach, wygłaszano przemówienia, błyskały flesze apa-

¹ Wystawę zorganizowano w 1985 r. z inicjatywy Fundación San Telmo. Jej pełny tytuł brzmiał *Juan Eichler. Muestra retrospectiva. Obras desde 1948 a la fecha*.

² Prace Eichlera wystawiano w galerii Galatea w latach 1972–1975.

ratów fotograficznych, a kelnerzy roznosili na tacach wino i napoje. Bohater wieczoru uwijał się niestrudzenie, by przywitać gości i porozmawiać z nimi. Był promienny, bo czuł zapewne, że jego sztuka ma powodzenie i przemawia do ludzi. Widać jednak było, że jest zmęczony — nic dziwnego, tyle wrażeń naraz, tylu przyjaciół, tyle osób zarówno z polskiego towarzystwa, jak i z tutejszego, eleganckiego świata. Przychodzili księżęta, księżniczki i zwykli ludzie. Ze środowiska artystycznego pojawili się Zygmunt Grocholski³ — mistrz „zyrgografii”, Piotr Pawluczuk — kolekcjoner i malarz, Zygmunt Kozłowski — świetny akwarelista, Nelly O’Brien de Lacy też malująca kolorową wodą deltę Tigre i pejzaże Campos del Tuyú, była Hania Skrzydlewska z mężem-portrecistą. Widziało się też znanych krytyków sztuki, którzy Janusza bardzo cenili. Lamentowały natomiast właścicielki galerii. Zaznaczały, że Eichler za mało pracuje, za mało maluje, że się nie mogą doczekać każdego następnego obrazu. Rzeczywiście, bywało, że Janusz kończył zaledwie dwie lub trzy prace w ciągu roku. Był niesłychanie skrupulatny i wymagający wobec siebie. Jego malarstwo stało na niezwykle wysokim poziomie zarówno jeśli chodzi o stronę techniczną obrazu, jego trwałość, jak i o koncepcję, treść i kompozycję. Nie spieszył się. Długo nosił w sobie wizję nowego dzieła, które nigdy nie było banalne ani tuzinkowe. Tłumaczył, że malarstwo to nie sprzedawanie płótna na metry.

Janusz stosował różne techniki, np. rysował piórkiem. Był mistrzem kreski. Widziałam jego kaligraficzne scenki, które miały charakter satyryczny. Można się było naprawdę ubawić. Malował też obrazy olejne, robił kolaże. Jego seria wycinanek narodowo-ludowych stała się zupełną niespodzianką na wystawie w galerii Galatea w Buenos Aires — u właścicieli zachlanych na twórczość Janusza. Wycinanki polskie zrobiły szaloną karierę. Populama sztuka kolorowych papierków została wyniesiona z wiejskiej chaty na wyżyny sztuki. Tę technikę można było stosować nie tylko do tworzenia tradycyjnych stylizowanych kwiatków, kogutków czy ptaszeków, ale nawet portretów. I właśnie portretem wystawionym w Galatei zachwycał się jeden z ważniejszych krytyków.

Widziałam też olejny portret Gombrowicza siedzącego w fotelu w swoim mieszkaniu na Wenezueli. Obraz był raczej posępny, utrzymany w ciemnych tonach. Przy tej okazji spotkali się dwaj wybitni twórcy emigracyjni — malarz i pisarz. Dziś pozostały po nich tylko dzieła jako spuścizna złożona na ołtarzu narodowym oraz pamięć tych, którzy mieli szczęście zbliżyć się do nich. Obaj przeżywali ciężkie czasy. Gombrowicz zyskał sławę, ale za późno. Eichler, uważany za najlepszego naszego malarza, nigdy się o tę sławę nie ubiegał, nie troszczył się o dobra materialne, nie gonił za groszem.

Z trzech rodzajów sztuki — pisarstwa, malarstwa i muzyki — najtrudniejsza jest chyba droga malarza. Jak ma się wybić malarz emigracyjny? Gombrowicz stał się znany dopiero po wyjeździe z Argentyny do Europy, po otrzymaniu stypendium Fundacji Forda w 1963 r., po przybyciu do Paryża, który go zrobił sławnym. Książki zostały przetłumaczone na mnóstwo języków i rozesłane w świat. Gombrowicz stał się bożyszczem swego czasu.

Zamknięty na kontynencie południowoamerykańskim malarz Eichler miał dużo trudniejszą rolę. Cóż się mogło Januszowi przydarzyć na Boca, a potem na Tigre? Promieniował tylko na małe kółko publiczności, która go znała. Nie spotkał mecenasa, który by go wyniósł na wielką światową scenę. Można powiedzieć, że „ziarno padło na twardy grunt”. Niestety, taki los jest często udziałem wielu talentów i znakomitych malarzy.

Mimo że Eichler nie gonił za groszem, nigdy jednak nie pozostawał bez środków do życia. Miał przyjaciół, którzy dbali, by nie popadł w nędzę. Jednym z nich był pan Pinitera. Znał Janusza od najdawniejszych czasów i mieszkał niedaleko. Eichler wpadał do niego kilka razy na tydzień. W ostatnim okresie Pinitera brał go nawet do siebie do domu — z Hogar San Martin na Wames. Janusz miał też swoją dawną uczennicę Soci, która — jak mi mówiono — kupowała każdą jego pracę i w ten sposób zasilala kasetę malarską artysty.

Janusz był nie tylko wspaniałym artystą-malarzem. Miał przede wszystkim piękną duszę. „Oby było więcej takich ludzi” — wyraził się Pinitera ze łzami, które się wyczuwało w jego głosie. Niech znajdzie Janusz Eichler spokój wieczny. Niech mu Bóg wynagrodzi wszystkie niedostatki i krzywdy ziemskie. Niech da mu w rajcu farby, pędzel i płótno, by portretował anioły — ich słodycz i nieskazitelne piękno. Niech się spotka z matką już wolną od szaleństwa umysłu i szczęśliwą

³ Zygmunt Grocholski, pseud. Zyrgo (1905–1989) — malarz, grafik; studiował we Lwowie i w Warszawie; w latach 1945–1947 przebywał we Francji, w 1948 osiadł w Argentynie.

z synem na resztę wieczności. Śmierć nas dzieli, ale i łączy w oczekiwaniu na drugie przyjście Chrystusa.

Na koniec powinno być naszym obowiązkiem uczcić pamięć tego znakomitego artysty wystawą pośmiertną — choćby w Domu Polskim, gdzie wielokrotnie prezentowano prace malarzy argentyńskich i polskich. Gombrowicz mieszkał w Argentynie dwadzieścia trzy lata, ale dopiero po przyjeździe do Europy odkryto go jako niepospolitego geniusza i rozślawiono na cały świat. Upamiętnijmy więc teraz dokonania innego wybitnego artysty, naszego wyjątkowego rodaka, który wsławił sztukę polską i był naszą chlubą. W dodatku trzeba się spieszyć, by dotrzeć do jego obrazów póki się nie rozplyną w fali czasu, póki się nie rozejdą wśród nieznanych ludzi, póki jeszcze można do nich trafić. Niech pamięć o nich nie zaginie a ich autor nie zagubi się w naszej obojętności, ospałości, egoizmie i wygodzie.

Maria Świczewska-Wanke (Argentyna)